

Leonce i Lena - gdy nie wiadomo, o co chodzi...

Wchodząc do teatru widz, który nie posiada zbyt dużej wiedzy na temat twórczości Büchnera, nie wie czego się spodziewać po spektaklu w reżyserii Thoma Luza. Wychodząc zaś, może czuć się jeszcze bardziej zdezorientowany. W przedstawieniu tym bowiem dramat ulega daleko posuniętej dekonstrukcji, pytanie tylko, czy miała ona sens.

Zaskoczyć widza może już scenografia - bardzo surowa, wypełniona głównie zimną bielą, zagospodarowana w sposób nierównomierny i głównie asymetryczny (z wyjątkiem niektórych konkretnych elementów) rekwizytami, które nie łączą się w spójną całość, niedająca żadnej odpowiedzi co do nadchodzącej akcji. Od samego początku spektaklu można też zauważyć, że ważną rolę gra w nim muzyka - buduje ona tło, nastrój scen, nieraz dyktuje rytm. Stopniowo przechodzi ona od spokojnej gry na pianinie (przeważnie niemieckich klasyków, czasami od tyłu - co może umknąć widzowi bez "muzycznego ucha") do kakofonii dźwięków. W niektórych momentach pojawia się również klasyczny, miejscami praktycznie operowy śpiew. Innym elementem budowania wymowy poszczególnych scen jest operowanie światłem, reżyser posługuje się tu głównie światłem białym, ostrym, wręcz świetlówkowym, nie boi się jednak wykorzystywać całkowitej ciemności czy ciepłego blasku ognia, zarówno płynnych, jak i gwałtownych przejść między nimi. Zarówno scenografia, jak i muzyka od razu wprowadzają do spektaklu nastrój surrealizmu.

Spektakl nie oszczędza widzowi męczącego poczucia absurdu również w przebiegu akcji; postaci zachowują się nienaturalnie, ciężko jest również zdefiniować, kto gra tu jaką rolę (nie wskazują na to ani ich interakcje, ani stroje, ani wypowiedzane kwestie, często powtarzane w różnych konfiguracjach aktorów) - to zresztą będzie dla widza nieoczywiste do końca przedstawienia. Już na początku spektaklu serwuje się też odbiorcy dłużyzny - po pierwszej scenie, zakończonej przytupem, rzutem krzesła, akcja zwalnia, by pokazać widzowi wypełniony dziwnymi, nienaturalnymi ruchami teatr marionetek, zepsutych automatów, powtórzonych scenek i kwestii, w którym postaci wydają się powoli oswajać przestrzeń. To nierówne tempo i tendencja do przeciągania pewnych scen i żartów cechuje właściwie całość przedstawienia, zaś motyw marionetkowości pojawia się w spektaklu jeszcze później, jest zresztą wprowadzany często za pomocą ciekawych zabiegów scenicznych i gestów. Tych jest zresztą w spektaklu "na pęczki"; często są na tyle absurdalne i oderwane od siebie, że pogłębiają tylko poczucie tego, że nie rozumie się właściwie, co reżyser - poza dezorientowaniem widza i tworzeniem onirycznego, podobnego do snu obrazu - "miał na myśli". Trawestując znanego krytyka - na pewno "miał pomysły".

Warto tu zresztą wspomnieć, że odbiorca nieznający oryginału Büchnera może mieć problemy z doszukaniem się w tym przedstawieniu ... fabuły. Ten,

kto oryginał zna... właściwie również. Reżyser wkłada oryginalne kwestie w usta poszczególnych aktorów w sposób dosyć swobodny, zarówno pod względem postaci, które je wypowiedziały, jak i momentu ich pojawienia się w oryginalnym utworze. Sama zaś gra aktorów kładzie również nacisk na to, że przez większość czasu praktycznie każda postać zdaje się funkcjonować w swoim własnym świecie, reagując przede wszystkim na scenografię. Nawet jeśli podejmują interakcje ze sobą nawzajem, traktują się bardziej jak przedmioty niż ludzie.

Ta tendencja do dzielenia spektaklu na oderwane od siebie elementy dotyczy także kwestii humoru. "Leonce i Lena" jest bowiem komedią, zarówno w oryginale, jak i w wersji Thoma Luza. Reżyser przesuwając aspekt humorystyczny z oryginalnego tekstu, gdzie polegał on głównie na załamywaniu się w kreacji postaci ich ról społecznych (czego tutaj, z powodu dekonstrukcji samych postaci, nie mamy szansy dostrzec), do absurdalnych sytuacji scenicznych i niespodziewanych zachowań aktorów, które nie mają właściwie zaczepienia w samym tekście dramatu czy w fabule. Rzeczy te mają być śmieszne z powodu swojego surrealistycznego wymiaru (jak np. bieganie między dwiema połówkami rozciętego pianina, by zagrać utwór). Jest to humor, który może bawić (i jak pokazały śmiechy słyszane na widowni), można też jednak ulec wrażeniu podobieństwa do żartu ze skórką od banana - owszem, winien rozbawić, ale jest poniekąd pojedynczymi, wprowadzonymi trochę bez powodu strzałami - i nie do końca czemuś służy, może (?) poza budowaniem wspomnianej atmosfery absurdu i oniryzmu. W rezultacie rodzi w głowie pytanie - jaki ma ostatecznie cel? Bez wątplenia można doszukać się tu rozwijania motywu błazenady, nadal jednak humor w spektaklu budzi wątpliwości. Za komediowością i błazeńskością oryginału stała bowiem celna krytyka społeczna i romantyczna ironia - czy w tej interpretacji również (rzekomą błazeńskością podkreślają w spektaklu ćwiczenia jednej z postaci na poręczach i wygłupy innej przy lustrze)? Czy śmiech w tym wydaniu "Leonce'a i Leny" ma drugie dno?

Oryginalny dramat jest tu zresztą bardzo pocięty i rozmyty, co utrudnia zrozumienie akcji i wymowy utworu, wzmagając jeszcze poczucie nieuchwytności myśli stojącej za przedstawieniem. Reżyser bowiem nie tylko w kwestii żartów, ale też wymowy spektaklu w ogóle, wydaje się kłaść akcent w innym miejscu niż autor oryginału, ciężko jednakże powiedzieć - gdzie. Można mieć problem z doszukaniem się klucza interpretacyjnego, za którym stoi wystawienie "Leonce'a i Leny" w taki, a nie inny sposób. Nie należy ukrywać, że wizja reżysera może być dla widza bardzo trudna w odbiorze - motywy i symbole są tu bardzo nieoczywiste. Być może taki był właśnie cel reżysera - by już w oryginale absurdalną komedię o rolach społecznych przesunąć w kierunku znacznie większego surrealizmu, wtłoczyć w nieoczywiste ramy, które będą dla odbiorcy po prostu zaskakujące. Pytanie, czy ten brak komunikacji z koncepcją twórcy to jednak dobry kierunek. Dla osoby młodej i nieobeznanej w

nowoczesnym teatrze próba dojścia do tego, co właściwie powinien ze spektaklu wyciągnąć, może być żmudna i zakończona niepowodzeniem. I chociaż nie można zarzucić mu nic od strony technicznej, niewątpliwie jest to sprawne widowisko, to jednak jego sens może odbiorcy ewidentnie umykać.

"Leonce i Lena" w tej reżyserii jest przedstawieniem zdecydowanie odważnym i nieoczywistym, ciężkim w odbiorze. Może dezorientować i wywoływać mieszane odczucia - widownia wydawała się być podzielona: nie brakowało zarówno entuzjastycznych reakcji, jak i malującej się na twarzach konsternacji czy wręcz krytycznego podejścia. Odnoszę nieodparte wrażenie, że w tym konkretnym przypadku dominowała raczej ta ostatnia postawa.

Aleksandra Draszewska